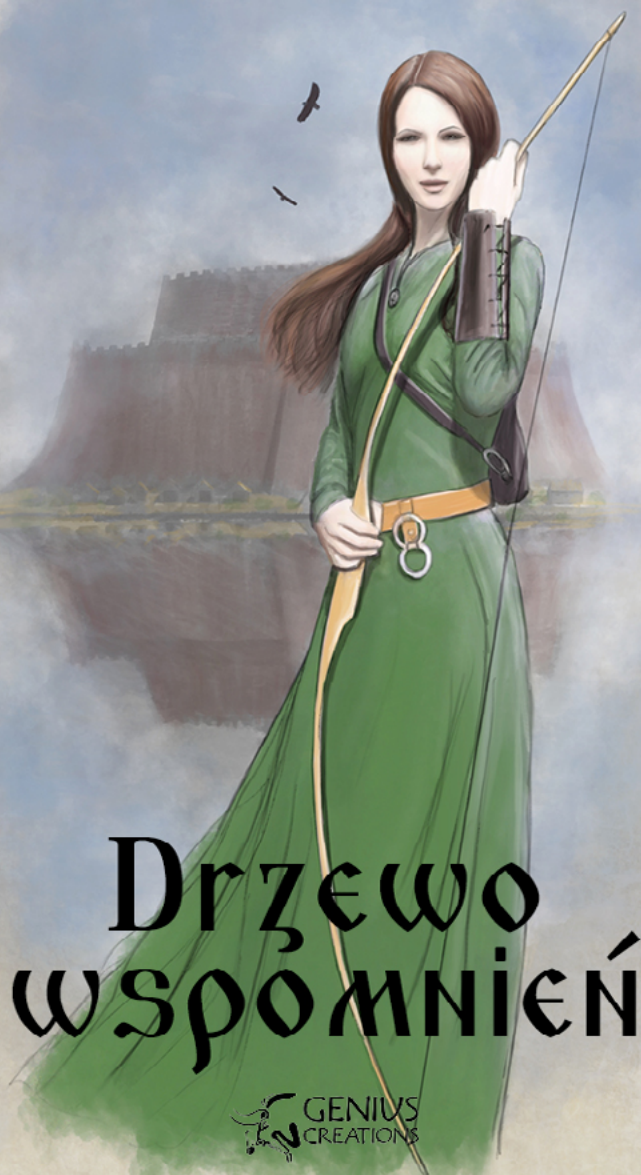


MAGDALENA LEWANDOWSKA

MAŁGORZATA LEWANDOWSKA



Drzewo  
wspomnień

MAGDALENA LEWANDOWSKA

# DRZEWO WSPOMNIENIA

Witria, część pierwsza

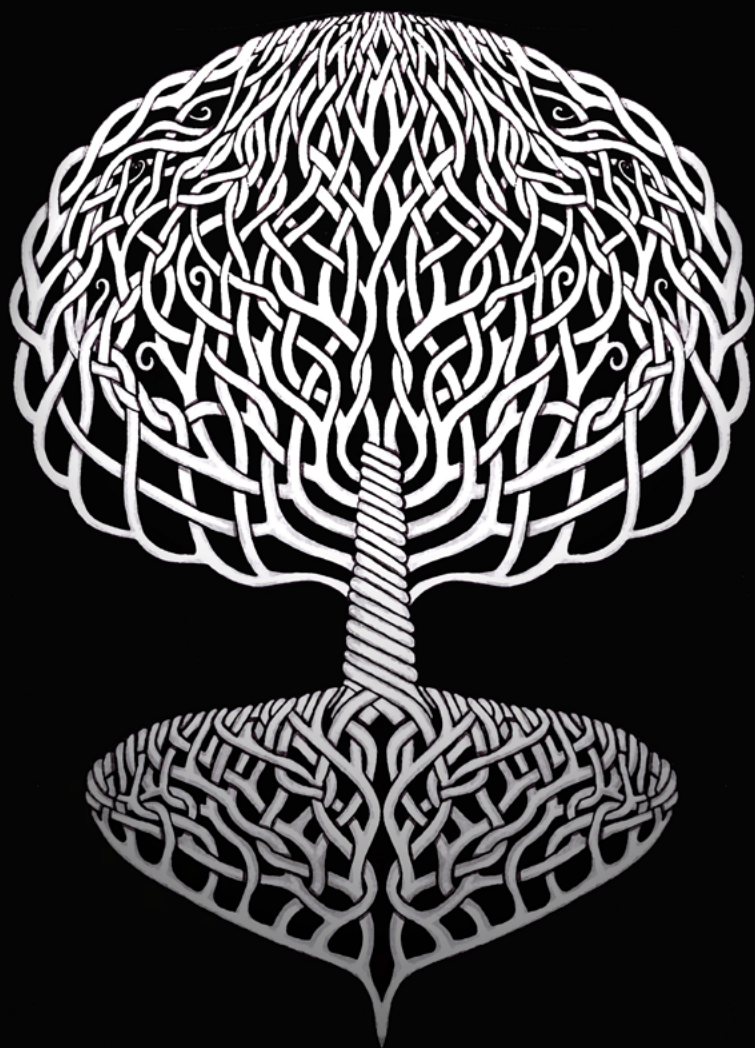


poezja i ilustracje

MALGORZATA LEWANDOWSKA

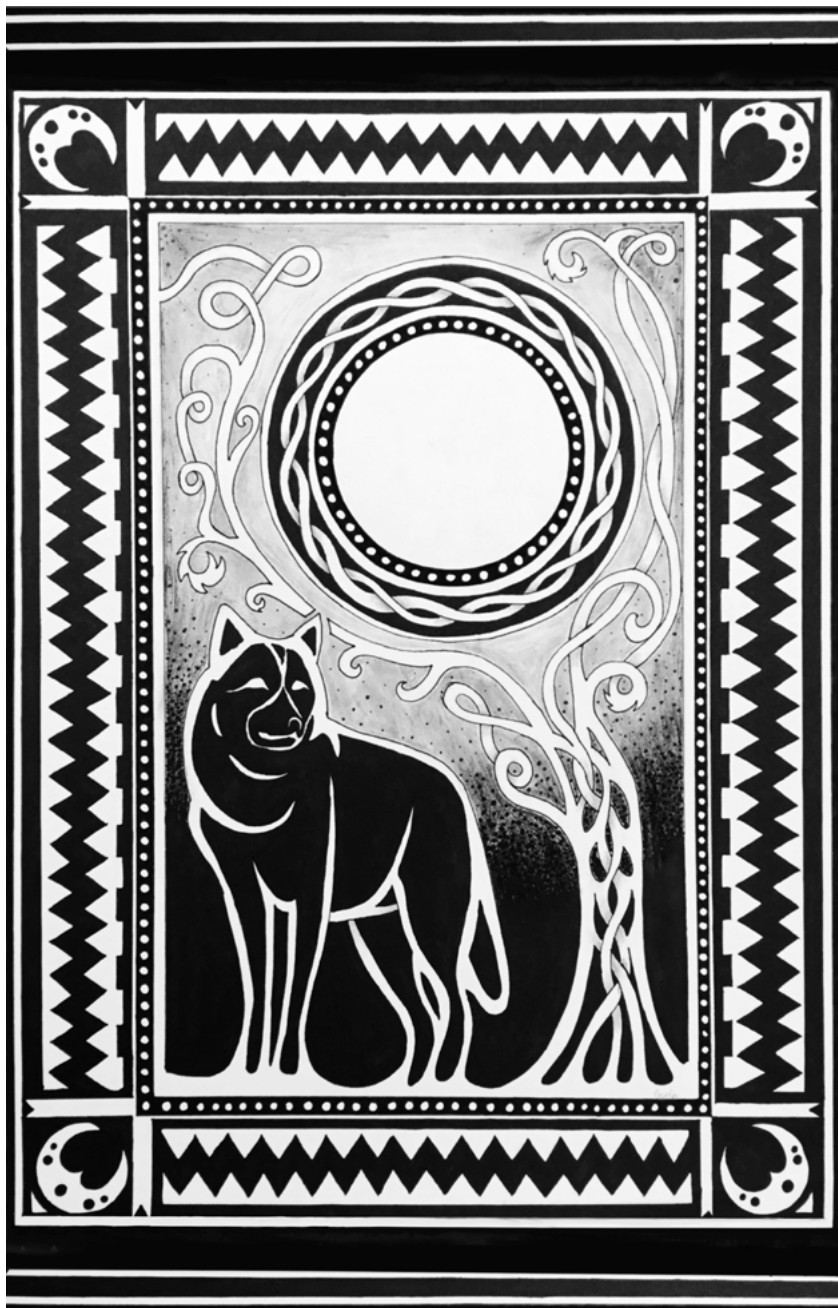


GENIUS  
CREATIONS



OLA ASI







# ROZDZIAŁ I

*Wiele lat pozostawał Dabor bez przewodnictwa Witii. Wiele ucierpiał od wojny i ataków nienawistnych sąsiadów. Niezliczeni mężowie padli od mieczy Cesarstwa i strzał ple-mion nadchodzących z Rudzi. Niezliczone niewiasty owdo-wiały, a dzieci bez opieki rodziców niedolę cierpiały.*

Wojan z Chłodnej, „Kroniki Daboru”

Cienkie smugi dymu unosiły się nad pogorzeliiskiem, oplatając martwe ciała zwiewnym całunem. Zimne powietrze pachniało świeżym śniegiem, spalonym drewnem i krwią. Wiatr miękko unosił rozerwane strzępki ubrań, jakby chciał przykryć nagość porzuconych na ziemi zwłok.

Samotna dziewczyna pochylała się nad jednym z ciał. Szare przerażone oczy wpatrywały się w martwą, przyproszoną popiołem twarz.

– Mamo? – szeptały zmarznięte, drżące usta. – Obudź się, mamo...

Blade usta matki milczały.

– *Ciiii, cichutko.....* – wyszeptał wiatr. – *Cichutko, kochanie...*

– Mamo?! Proszę, obudź się! – Głos dziewczyny zabarwiony był histerią. – Tata... tata chyba nie... chyba nie żyje...

– *Ciiii, nie płacz, Saja...* – szeptał wiatr.

Gdzieś z lasu dobiegł odległy tętent kopyt. Dziewczyna podniosła głowę, z przerażeniem wyglądając napastników.

– Mamo! Mamo! Obudź się! Proszę!

– *Schowaj się...* – szeptał wiatr natarczywie. – *Schowaj się...*



Świst pędzącej strzały przerwał ciszę zimowego przedświt. Chwilę potem rozległ się głuchy dźwięk padającego na ziemię ciała. Przez ośnieżoną leśną polanę wielkimi susami przebiegł ogromny wilk. Powąchał zbłąkane krople krwi. Różowym jęzorem oblizał drzewce strzały wbitej głęboko w bok sarny.

– Zostaw to, Skra! – Męski głos odbił się echem po polanie. – Jeszcze ci zadra jakaś wlezie!

Wilk posłusznie cofnął się i z cichym skomleniem przysiadł nieopodal ofiary. Czujnym wzrokiem śledził zbliżającego się od brzegu lasu myśliwego. Dzierżący łuk mężczyzna przedarł się w końcu przez zaspę śniegu. Stał obok wilka i poklepał czule ciemną głowę zwierzęcia.



– Dobra robota, chłopie – powiedział. – Nagoniłeś ją prosto na mnie. Będzie jedzenia na tydzień!

Zadowolony z pieszczoty Skra dostojnie pomachał ogonem i szczeknął cicho. Miro, bo tak nazywał się samotny myśliwy, podrapał wilka za uchem, po czym pochylił się nad upolowaną zwierzyną, by wyciągnąć strzałę. Ubita sarna była młoda, a jej sierść gruba, gładka i lśniąca.

– W sam raz na skórę – wymruczał pod nosem myśliwy. – Matka będzie zadowolona...

Chwilę potem Miro po raz tysięczny uświadomił sobie, że jego matka nie żyje.

Pociągnięta zbyt gwałtownie strzała pękła.

– Parchy, nęcia mać! – wycedził mężczyzna przez zęby, rzucając bezużyteczną brzechwę na ziemię. – Głupi! Głupi! Głupi! – Raz po raz uderzał w głowę zaciśniętą pięścią. – Nie żyje! Nie żyje! Oni wszyscy nie żyją! Czemu nie możesz zapamiętać?!

Minął już prawie rok, odkąd Miro znalazł porzucone na stosie zwłok ciała swojego ojca. Minął prawie rok, odkąd zaginęła jego siostra Malina i brat Wilen. Połowa jesieni i prawie cała zima, odkąd umarła jego matka, jednak Miro wciąż zapominał. Każdego dnia łapał się na planowaniu niespodzianki dla matki czy prezentu dla siostry. Każdego dnia na nowo uświadamiał sobie śmierć najbliższych. *Ile jeszcze?...* – zastanawiał się, wpatrzony tępo w kawałki połamanej strzały. – *Ile trzeba czasu, by zapamiętać?...*

Zimny nos wilka dotknął dłoni mężczyzny. Miro spojrział w roześmiane oczy przyjaciela. Objął ramieniem szyję Skry.

– Co ja bym bez ciebie zrobił, bydlaku?... – powiedział, drapiąc puchate ucho zwierzęcia.

Zadowolony wilk przechylił głowę na bok, pomrukiem zachęcając mężczyznę do intensywniejszego drapania.

– Ależ ty jesteś rozpuszczone bydle! – Miro zaczął obiema rękami zapamiętałe czochrąć szyję i grzbiet zwierzęcia.

Skra z zadowolonym pomrukiem i głuchym odgłosem przewrócił się na śnieg, prezentując brzuch, gotowy do dalszych czułości.

– No nie, tak to nie ma! – wykrzyknął mężczyzna z udawanym oburzeniem – Rusz dupę, chłopie! Ta sarna sama się nie wybebeszy!



Otulona strzępami kozuszką Saja stała na brzegu lasu. Przed jej oczami rozciągały się otaczające niewielką osadę, przysypane śniegiem pola. Nie знаła nazwy tej wioski. Nie była pewna, jak się tu znalazła. Nie pamiętała wiele z minionych kilku dni. Tam, na pogorzeliśku, odrętwiała bólem, rozpaczą i samotnością, poddała się szeptom wiatru. Wiatr kazał jej uciekać, więc uciekała. Pamiętała niezliczone drzewa mijane w biegu, przeskakiwane korzenie, jakąś podziemną kryjówkę, trzask łamanych kości, ból, krwisty smak surowego mięsa.

Sama nie była pewna, jak długo biegła. Trzy dni? Cztery? Tydzień? Otumaniona szeptami wiatru, prze-

mierzała ośnieżony las jak we śnie. Dzień zlewał się w jedno z dniem kolejnym, noc z nocą. *Ile jeszcze wytrzymam?* – zastanawiała się, patrząc na zimowy krajobraz pustym, zmęczonym wzrokiem. Nie wiedziała, od kogo ucieka. Nie wiedziała, kim byli ci, którzy napadli na jej rodzinny dom. Kiedy dotarła na pogorzelsko, nie zastała tam żywej duszy. Kiedy uciekała, słyszała tylko tętent końskich kopyt. *Może mieszkają w tej wiosce? Może na mnie czekają?...*

– *Schowaj się...* – wyszeptał wiatr w koronach drzew.  
– *Schowaj się...*

Jej przyjaciel wiatr. Pomagał Sai od samego początku. Od tej pierwszej nocy, jeszcze przed napadem na rodzinny dom, jeszcze przed szaleńczą ucieczką przez las. Wydawało się, że to było tak dawno temu... Wiatr szarpał wściekle okiennicą. Kołatanie drewna było tak głośne, że obudziło Saję. *Trzeba było spać...* – pomyślała dziewczyna. – *Trzeba było zostać z mamą...* Ale wtedy, tak dawno temu, wstała. Podeszła do okiennicy, by zamknąć ją szczelniej. Za oknem zobaczyła cienie utkane z jasności, wiły tańczące na podwórku, wirujące po skrzącym się śniegu. Saja zamknęła oczy, by lepiej zobaczyć tę cudowną wizję wspomnień. Matka z ojcem spali w odległym kącie izby. Zaledwie kilka kroków dzieliło ją od cudownego zapachu włosów matki, od miękkości jej ramion, od ciepła. Od bezpieczeństwa. *Trzeba było zostać... Zostać z mamą...* Ale wtedy, tej odległej nocy, wyszła. Ubrała się i cichutko wyszła na podwórko. Myślała, że wiły uciekną. Według opinii zielarki miały być przecież nieśmiałe i bać się

ludzi. Jednak świetliste cienie zdawały się na nią czekać. Przywitały ją jak siostrę, zaprosiły do tańca. Poszła z nimi, szczęśliwa, urzeczona pięknem ich jasnych oczu i zwiewnych sukni. Zupełnie zapomniała się w tym tańcu. Wirowała ze świetlistymi zjawami, wzbijając iskry śniegowego pyłu, płynąc przez pogrążony w zimowej ciszy las.

– *Schowaj się...* – Szum upartego wiatru wyrwał ją z kokonu wspomnień. – *Schowaj się...*

*Mój przyjaciel wiatr...* Dziewczyna posłusznie odepchnęła się od drzewa i chwiejnym krokiem ruszyła przez las. Wycieńczona, opierała się o zmarznięte pnie, potykała o wystające korzenie. Pień starego dębu zapadł się pod jej ciężarem. Bezwładnie, zbyt zmęczona by się zdziwić lub przestraszyć, wpadła do środka wydrążonego czasem drzewa.

– *Schowaj się!* – naglił wiatr. – *Schowaj się... Schowaj...*

Resztką sił wyczołgała się z pnia, by zgarnąć kilka nagich gałęzi i połamane fragmenty kory. W końcu, ukryta tak, że tylko wątła para oddechu zdradzała jej obecność, skuliła się w ciemności. *Zimno... Tak bardzo zimno...* Pamiętała, że tam, na pogorzelsku jej rodzinnego domu, było ciepło. Nie była głodna. Znalazła wejście do jednej z wielu podziemnych spiżarni. Było tam jedzenie, a dogasający pożar rozgrzał małą przestrzeń. To nie było tak dawno temu. W spiżarni było ciemno i ciepło. Po zamknięciu oczu, prawie mogła zapomnieć, że ciała wszystkich ludzi, których kochała leżały na ziemi, stygły, wpatrywały się w padający śnieg martwymi oczami. *A może to jest teraz?*

Jej zmęczony umysł rozplýwał się w ciemności. Nie czuła już zimna. Nie czuła głodu. Tak jak tam, na pogorzeliisku, zasnęła, bez snów.



Poranna szarówka wyraźnie już się przejaśniała. Miro w milczeniu skończył czyszczenie ostrza i zaczął starannie usuwać ślady polowania. Szanse, że ktokolwiek zapuści się tak głęboko w las nie były wielkie, ale wołał nie kusić losu. Nie chciał, aby mieszkańcy wioski dowiedzieli się o jego udanych łowach. Ostatnim razem kiedy wrócił z tak dużą zdobyczą, zląło mu się do domu chyba z pół Szubinek. W większości baby, które spędziły pół dnia doradzając mu, jak robić kielbasy i przyrządzać szynki. Wszystko mu w domu poprzestawiały, błota naniósł, kubków nabrudziły i zostawiły go z koszmarnym bólem głowy. Po tym przykrym doświadczeniu Miro stał się bardzo ostrożny. Zwykle nie polował na nic większego niż królik czy kuropatwa, a zdobycze łowieckich wypraw przechowywał w kryjówce na brzegu lasu. Wracał po zwierzynę następnego dnia, przynosząc w worku nie więcej niż jednego królika czy ptaka naraz. *Z sarną trudno będzie przemknąć się niepostrzeżenie...* – pomyślał.

Miro w ogóle nie miał zamiaru polować na grubą zwierzynę. Niestety, nic innego nie mógł znaleźć. O tej porze roku, na przednówku, mieszkańcy wioski eksploatowali las niemal do granic wyczerpania zasobów. Dodatkowo ciągnąca się od prawie sześciu lat

wojna i związane z nią podwyższenie danin znacznie nadwyrężyły zimowe zapasy Szubinek. Tego poranka Miro znalazł pewnie z tuzin pustych sideł i ani jednego królika. Wszystkie sidła, jak zwykle, dyskretnie uszkodził. Nie zgadzał się na okrutną śmierć zwierząt złapanych w te paskudne pułapki. Sam polował tylko z łukiem. Wymagało to umiejętności podchodzenia zwierzyny i celnego strzelania. W opinii Mira takie polowanie było uczciwe. Leżąca pod jego stopami sarna nawet nie wiedziała, co się stało. Strzała trafiła ją prosto w serce. Miro był z siebie bardzo zadowolony. Teraz musiał tylko wymyślić, jak zanieść tak dużą zdobycz do domu i nie zostać wysłędzonym przez czujne oczy mieszkańców Szubinek.

– Zaraza na te baby... – mruknął pod nosem.



Poprawił rzemienie sani, spojrzął w niebo i uśmiechnął się do siebie. Śnieg zaczynał padać, co oznaczało, że przynajmniej nie będzie musiał tutaj wracać, żeby zatrzeć resztę śladów. Ruszył równym krokiem przez las, ciągnąc obciążone zwierzyną sanie. Skra, objedzony wnętrznościami sarny, potruchtał leniwie za panem.

Pierwsze ślady Miro zauważył jakieś pół staja<sup>1</sup> od brzegu lasu. Połamane gałązki, kłaczki futra zaczepione o krzaki, gdzieniegdzie kilka kropel krwi. Wyraźne

<sup>1</sup> staje – daborska jednostka długości, ok 200 m

odciski ludzkich stóp na śniegu. *Zbóje jacyś?* – zastanawiał się, zaniepokojony. – *Ktoś napadł na Szubinki?* Zatrzymał się, odczepił rzemienie sani i sięgnął po łuk. Dłonią dał znak Skrze. Wilk posłusznie zniknął pomiędzy drzewami. Miro, stąpając ostrożnie po skrzypiącym śniegu, ruszył przed siebie.

Doświadczonym okiem tropiciela obserwował ślady. Dziecko lub drobna kobieta. Prawie mógł widzieć zataczającą się, potykającą o korzenie postać. *To nie z Szubinek* – pomyślał z ulgą. – *Idzie z lasu.* Wiele drobnych ran. Prawdopodobnie złamana ręka. Bose stopy, porwany kożuszek. Zdjął kilka strzępów z pobliskiej gałęzi i powąchał je. Zakażona rana. Ślady wyraźnie prowadziły do starego, spróchniałego dębu. *Parchy, idźcie wprost do mojego drzewa!* – przeklął w myślach.

Cisza nie była dobrym znakiem. Słyszał tylko wiatr, swoje własne kroki i oddech. Stanął przed osypanymi śniegiem gałęziami i przyjrzał się śladom raz jeszcze. Wyglądało na to, że poranione dziecko lub kobieta znalazła schronienie w jego kryjówce. *Na bogów, czemu tutaj?! Czemu ja?* – pomyślał ze złością. Zagwizdał na Skrę, po czym klnąc soczyście pod nosem zaczął odsuwać gałęzie. W jego nozdrza uderzyła fala ciepła i smród zakażonej rany. We wnęce drzewa siedziała nieruchomo ludzka postać. Skulona, chuda, otulona w łachmany i strzępki kożuszek, z głową opartą na ramionach, zdawała się spać. Potargane włosy były splecione w coś, co kiedyś prawdopodobnie było wyszukany warkoczem. Teraz spod futrzanej czapki zwieszał się posklejany potem i krwią długi



kołtun włosów z wplątanymi gdzieniegdzie listkami i gałązkami. Miro delikatnie podniósł głowę nieprzytomnej postaci. *Szyja nie jest sztywna. Żyje albo dopiero co umarła.* Ubrudzona, wychudzona twarz należała do młodej dziewczyny. Jedenaście? Dwanaście lat? Nie więcej. Niebieskawe usta, zamknięte oczy. Cieniutka mgiełka oddechu.

– Jeszcze żyjesz – powiedział Miro do nieprzytomnej dziewczyny. Delikatnie odsunął poły kożuska i zapach gnijącego ciała uderzył go niemal boleśnie. – Choć pewnie już niedługo... – dodał.

Mężczyzna przykucnął na piętach i patrzył przez chwilę na bezwładne ciało. *Zostawić? Wziąć?* Podrapał brodę w zamyśleniu. *Buzię ma zupełnie jak Malina* – pomyślało mu się. Zaklął siarczyście, wściekły na siebie za głupie myśli. Wiedział, że teraz już na pewno nie zostawi tu dziewczyny.

Ze stłumionym westchnieniem podniósł się i pochylił nad wciśniętym w dziupłę ciałem.

– Zabierzmy cię do domu, dziecko – powiedział.



Miro zaczynał powoli odczuwać chłód zimowego ranka. Czekał przed domem Rai już dłuższą chwilę, raz po raz pukając nerwowo w drzwi. Raja była wielce szanowaną zielarką z ogromnym doświadczeniem. Była również kobietą, mówiąc delikatnie, w sile wieku i słuch nie dopisywał jej jak niegdyś. A przynajmniej

taką miał Miro nadzieję. Stał tu już wystarczająco długo, by zacząć się obawiać, że Raja leży gdzieś w tej chatce, złożona snem wiecznym. Rozejrzał się raz jeszcze po podwórku. Stojaki na zioła, suszarnia, mały ręczny wózek. Ogrodzony drewnianym płotem, młody cisowy gajk. Pomimo grubej warstwy śniegu wciąż można było zauważyć jaśniejsze drewno wymienionych części i błysk naoliwionego metalu. Miro pamiętał doskonale drzazgi i potłuczone palce, które zarobił w tym obejściu minionej jesieni, naprawiając sprzęty i oliwiąc koła. Miał nadzieję, że Raja też to pamięta i, jeśli jeszcze żyje, będzie bardziej skłonna mu pomóc. Ponownie zastukał w drzwi, tym razem mocniej. *Proszę, proszę, bądź żywa* – modlił się w myślach. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie warto byłoby szukać pomocy u Iwy, rezydującej w Szubinkach znachorki. Z tego co słyszał, Iwa nie najgorzej radziła sobie z ziołami i szyciem ran. Była również zdecydowanie bardziej przyjaźnie nastawiona do swoich pacjentów. *Może Iwa wystarczy?*

Większość mieszkańców Daboru wiedziała co nieco o ziołach i podstawowym leczeniu ran. Zwykle urazy, odniesione podczas pracy w polu czy w obejściu opatrywane były przez żonę, sąsiada, przyjaciela czy nawet samego rannego. Czasem szukano pomocy u znachorów lub znacherek – kobiet i mężów obeznanych z ziołami, szyciem ran, składaniem kości, czy przyjmowaniem trudnych porodów. Do mieszkających w Świętych Cisowych Gajach zielarek zwracano się tylko w najbardziej poważnych przypadkach. Powody tego były dwa.

Po pierwsze: zielarki oprócz leczenia zajmowały się również planowaniem prac polowych, zbierania zapasów na zimę, nauczaniem dzieci, organizowaniem obzędów, wyrobem broni i bogowie sami wiedzą czym jeszcze. Nie były więc zadowolone, kiedy przychodziło się do nich z błahymi problemami. Po drugie: zielarki, wszystkie bez wyjątku stare, bezzębne i zgryźliwe, rutynowo zadawały pacjentom serię pytań w rodzaju: „No i czemuś się tak obzerał?”, „Trzeba było na dupie siedzieć całą zimę?”, „Ile razy mówiłam, żebyś tyle nie chlał?”. Krótko mówiąc, wizyta w Świętych Gajach bardzo rzadko była przyjemnym doświadczeniem.

Zrezygnowany Miro oparł się o ścianę niewielkiej chatki. Wiedział, że sam nie da rady wyleczyć obrażeń znalezionej w lesie dziewczyny. Trudno mu było nawet uwierzyć, że ta mała w ogóle jeszcze żyje. Przypomniawsobie szarawą skórę na wycieńczonej twarzy dziewczyny, szybki, płytki oddech, rozpalone gorączką ciało. *Nie da rady... Musi być zielarka...* – stwierdził po raz kolejny. Zmarznięty, zmęczony i zły, walnął w drzwi raz jeszcze.

– Matko! Matko! – krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił. – Jesteście w domu, matko?!

Był już gotowy wyważać drzwi, kiedy usłyszał dobiegające z chaty stłumione kroki i nieco głośniejsze przekleństwa. Odetchnął z ulgą. Przywołał na twarz najśłodszy uśmiech, na jaki mógł się zdobyć. Zza drzwi dobiegł wysoki, jazgotliwy wrzask:

– Czego?!

Drzwi uchyliły się wystarczająco, żeby można było dostrzec ostry nos i wystający podbródek starszej kobiety.

– Niech Matka<sup>2</sup> wam błogosławi. – Ukłonił się z szacunkiem szparze w drzwiach. – Mam nadzieję, że nie obudziłem przedwcześnie?

– Mi to Matka nic już nie pomoże Mironie. Błogosławić to mi może Starucha<sup>3</sup>, ale pewnie jeszcze w pierzynie się wygrzewa, jak przystoi o tej porze roku. Czego?

– Tak właśnie się rozglądałem po obejściu – kontynuował zdeterminowany Miro – i widzę, że suszarnia jeszcze solidnie wygląda...

– Wygląda solidnie, bo naprawiona zeszłej jesieni! – przerwała jazgotliwie zielarka – Co ma nie wyglądać? A jak będziesz w te drzwi tak walił to jeszcze i drzwi będziesz naprawiać. Czego?

*Na zarazę mi to wszystko było?! – Miro z wysiłkiem powstrzymał siarczyste przekleństwo. Przypomniał sobie uciążliwy powrót z lasu. Objedzony Skra z trudem ciągnął sanie. Objuczony nieprzytomnym ciałem mężczyzna musiał iść piechotą, zamiast po prostu pojechać na nartach. Zacisnął pięści i zmusił się do zachowania spokoju. *Jak jej Raja nie wyleczy, to będę ją musiał z powrotem targać do lasu.**

– No, ja to mogę i drzwi naprawić, jak trzeba – spróbował jeszcze raz. – I nawet dach. Tu widzi mi się, za przeproszeniem, po wygodki stronie tak jakoś się zaczyna zapadać...

– Na miłość bogiń, Mironie! – Drzwi otworzyły się na oścież, ukazując zielarkę Raję otuloną w wyblakły,

---

<sup>2</sup> Matka – inaczej zwana Żywią, bogini, jedna z czworga bogów daborzkiego panteonu.

<sup>3</sup> Starucha – inaczej zwana Starką, bogini, jedna z czworga bogów daborzkiego panteonu.

gruby zielony koc i wyraźnie już wściekłą. – Czego ty mi tu w drzwi walisz o tej porze?! Co, znowu ta jałówka niedomaga? Mówiłam ci przecież, żeby jej chlebem nie karmić! Kogo w ogóle stać w tych czasach, żeby krowom chleb dawać?! Twoja matka, niech jej Kuźnia<sup>4</sup> ciepłą będzie, pewnie ręce załamuje, jak na to patrzy!

Miro stracił wątek i popatrzył na Raję błagalnie. Nie był pewny, czy chce mu się wrzeszczeć z wściekłości, czy płakać. *Czemu ta baba musi tyle gadać?! – myślał w bezsilnej złości. – Czemu zawsze musi wiedzieć czemu?! Czemu nie mogłaby po prostu wziąć swojej torby i powiedzieć: „Idziemy, opowiesz mi po drodze”?* Słyszał, że podobno znachorka Iwa tak robiła. Ludzie gadali, że kiedyś wybiegła z rozwianym włosom za chłopakiem młynarza. Potem cała wioska plotkowała przez tygodnie, jak to się chłopak ze starą prowadzi. *Hm – pomyślał Miro – może dlatego Raja woli się najpierw wypytać?*

Starsza kobieta otuliła się dokładniej kocem, westchnęła i cofnęła się kilka kroków.

– No dobrze, już dobrze... – powiedziała łagodniejszym tonem. – Pozbieram tylko kilka rzeczy i zaraz pójdziemy.

Miro westchnął z ulgą. *Najgorsze już za nami!* – pomyślał, starannie zamykając drzwi i wycierając ośnieżone buty.

– Co do tej jałówki, to może, matko, lepiej coś na rany też wziąć, bo to nie całkiem problem żołądkowy, że tak powiem... – rozpoczął ostrożnie.

---

<sup>4</sup> Kuźnia – według daborskich wierzeń Zaświaty, miejsce, gdzie zmarli udają się po śmierci.



– Uh, ale miałam przygodę! – pisała z radości Raja, poprawiając spódnicę. Zarumienione policzki i rozradowane oczy nadawały jej prawie młodzieńczego wyglądu. Spojrzała na Mira z szerokim bezzębnym uśmiechem. Pilnujący wejścia do pobliskiej ziemianki Skra poderwał się ze śniegu i zaczął radośnie skakać dookoła swojego pana. Miro, zgięty w pół i spocony, dyszał ciężko, nieskutecznie opędzając się od czułości ogromnego wilka. Przewieszona przez ramię ciężka torba zielarki kiwała się w rytm oddechu mężczyzny. Miro był wyczerpany i zaczynał już poważnie żałować, że nie zostawił nieprzytomnej dziewczyny tam, gdzie ją znalazł. *Jakbym nie miał wystarczająco problemów bez tego...* – wyrzucił sobie. Mokry jęzor wilka przejechał mu po twarzy.

– Skra! Na miłość bogów!!! – wydarł się na czworonogiego przyjaciela.

Skra potulnie przysiadł na śniegu. Spojrzał na obślinionego pana bardziej ze zdziwieniem niż z przestraszeniem. *I bogom ducha winnemu zwierzakowi się przez to wszystko dostaje...* – pomyślał Miro z poczuciem winy.

– No już dobrze, przepraszam, stary. – Łagodnie pogłaskał głowę wilka. – Taki dzień, że nic tylko do łóżka wracać i nie wychodzić do jutra...

Był dopiero późny ranek, lecz Miro czuł się, jakby już był wieczór. Droga powrotna do domu okazała się koszmarem. Starsza kobieta jazgotliwie narzekała na pogodę, porę dnia, niewdzięczność losu i co tam

jeszcze jej ślina na język przyniosła. Co kilka chwil poprawiała jakąś część wielowarstwowej garderoby, a każdy jej krok był akcentowany stęknieniem, jęknięciem albo chrupaniem w stawach. Po przebyciu w ten sposób mniej więcej jednej trzeciej dystansu zdesperowany Miro chwycił zielarkę w ramiona. Resztę drogi pokonał niosąc piszczącą kobietę, starając się unikać jak mógł nieprzyjemnego, słodkawego zapachu, wydobywającego się z jej bezzębnych ust. *Najpierw sarna, potem nieprzytomna dziewczyna, i na koniec piszcząca jak podłotek zielarka. Bogowie, czemu ja?! – myślał. – Oby to okazała się porwana czy zagubiona ukochana córka jakiegoś paniska. Z bogatymi i wdzięcznymi rodzicami. O ile w ogóle przeżyje...*

– No i czegoż ty się tak zmęczył? – Zielarka przerwała jego rozmyślenia. – Ani ja gruba nie jestem, ani daleko nie było. Poza tym przecież mówiłam, żeby wziąć sanie! Szybciej by było i wygodniej.

Mówiąc to, Raja wspięła się na palce, by zdjąć swoją torbę z ramienia mężczyzny. Zachwiała się, tracąc równowagę na ośnieżonej ziemi. Poślizgnęłaby się, gdyby Miro odruchowo nie chwycił jej w tali.

– No patrzcie, ludzie! I na dodatek mnie obłapia! – wykrzyknęła zielarka z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Od razu obłapia! – oburzył się Miro.

*Trzeba było wziąć sanie...* – myślał zaciskając szczęki, żeby powstrzymać siarczyste przekleństwo.

Raja, nieprzejęta zbytnio gotującym się wewnątrz nie mężczyzną, poradziła sobie w końcu z paskiem torby i rażno pomaszzerowała w stronę chaty Mira.



– Eeee, matko... – zawołał Miro za zielarką. – To jakby... Nie do chaty idziemy.

– Nie do chaty?... – Raja zatrzymała się w pół kroku. – No proszę, młodzieńcze, czyżbyś w końcu swój rozum znalazł?! Ruszyłeś te swoje bestie z chałupy?! Żonę będziesz wprowadzał? No, myślałam, że już się nigdy nie doczekam! A twoja matka też w końcu w Kuźni odpocznie! Chodź, niech cię uściskam!

Miro aż cofnął się na widok szeroko rozłożonych ramion zmierzającej ku niemu zielarki. Oszołomiony tą nieoczekiwaną wylewnością, desperacko próbował pozbierać myśli.

– Eeee – udało się mu wykrztusić.

– Co eeee? – wypytywała radośnie Raja. – No, to którą żeś sobie upatrzył? Tę małą od tkaczki, co? A ładniutką buzię ma, trzeba przyznać. Nie tę? Nie powiesz, że tamtą rudą z Lędziny?! Wiesz, że rude nic dobrego nie wróży! Słuchaj starej babki, mówię ci, chłopcze, nie ma to jak doświadczenie w tych sprawach, rozumiesz... – Raja przerwała swoją tyradę, rozglądając się po podwórzu. – A gdzie ty te zwierzęta trzymasz? Zbudowałeś coś za chatą? Bo przecież nie w kuźni? No chodźże, co tak stoisz? Ja całego dnia na te twoje krówki nie mam.

– Matko... – Miro w końcu odważył się wtrącić słowo. – To jakby mogła matka tak do tej ziemianki zajrzeć? – wykrztusił nieśmiało, otwierając świeżo odśnieżone, uplecione z wikliny drzwi. – Ja tylko skoczę po lampkę jakąś czy coś...

Skra zaszczekał i jednym susem skoczył przez otwarte drzwi. Oniemiała Raja wpatrywała się na przemian to

w ziemiankę, to w oddalającego się szybkim krokiem Mira. W końcu, kręcąc głową i mamrocząc coś o bestialstwie i wpychaniu jałówek w dziury, podążyła za wilkiem.

Potrwało chwilę, zanim oczy zielarki przyzwyczyły się do ciemności. Nie trzeba było jednak światła, żeby poczuć wypełniający pomieszczenie odór zakażenia i brudnego ciała. Raja postąpiła krok w kierunku żarzącego się paleniska i leżącej obok, ciasno otulonej skórmi postaci. Skra, wciśnięty w kąt ziemianki, skomlał cicho, patrząc to na Zielarkę, to na okutany ludzki kształt.

– No, jałówka to nie jest – mruknęła Raja, stawiając torbę obok paleniska.

Starucha przykucnęła na klepisku i delikatnie odchyliła skóry, aby przyrzeć się chorej. Miro z oliwnymi lampkami w dłoniach przekroczył próg ziemianki.

– W sam czas, chłopcze! – powiedziała zielarka, nie odwracając wzroku od chorej. – Chodźże, poświęć mi tutaj – dodała z nagłym skinieniem dłoni.

– Matko, ja... – zaczął niepewnie Miro.

– Wygląda na to, żeś jej życie uratował – przerwała mu kobieta. – Jeszcze trochę na tym mrozie i Starkę byśmy o pomoc prosili.

Zielarka sięgnęła do torby i wyciągnęła mały nożyk. Z wprawą i szybkością zadziwiającą u osoby w tak dojrzałym wieku zaczęła rozcinać ubranie nieprzytomnej dziewczyny, by zbadać jej rany. Widok nie był przyjemny. Ciało chorej było wychudzone i tak pokaleczone, że jej nagość nie wzbudzała w Mirze żadnych emocji oprócz żalu. Sucha i pomarszczona skóra na boku odsłaniała ropiejące rany, poszarpane mięśnie i prześwitujące w kilku miejscach żebra. Udo rozorane było niemal do

kości. Kilkanaście głębokich zadrapań i ugryzień znaczyło łądzwie i biodro. Lewa ręka, powyżej łokcia, здаwała się mieć dodatkowy staw. Ogromna opuchlizna i ciemnofioletowy kolor skóry nie wyglądały najlepiej, lecz na ramieniu nie widać było żadnych ran czy wystających kości. Miro odetchnął z ulgą. *Może być, że i rękę da się uratować?* – pomyślał z nadzieją. *A, gdzie tam...* – Po chwili skarcił się w duchu. – *Rękę to może by i dało radę, ale tego ugryzienia na boku przecież nie przeżyje...* – Hmm. – Miro aż podskoczył, kiedy mruknięcie zielarki przerwało pełną napięcia ciszę. – A ten ogień to żywy<sup>5</sup>?

– Eeee, no nie bardzo – odpowiedział, niepewnie drapiąc się po szyi. – Przeniosłem z chałupy, tak żeby migiem było. Ale jak trza, to ja zaraz po bliźniaki skoczę – zaferował szybko.

– A gdzie bliźniaki będziesz ciągał. – Raja spojrzała na Mira z kpina. – Po żywy ogień biegać w środku zimy? Zaraz się ludziska zaczną ciekawić. A poświećże mi tutaj, przecież widzisz, że szukam po ciemku.

Zawstydzony Miro zapalił jedną z lampek i podsunął światło ku szperającej w torbie zielarce. Czuł się tak, jakby czas się cofnął i jakby znów był zaledwie wyrosniętym żółtodziobem, młodziakiem zbyt głupim i niedoświadczonym, żeby wykonywać nawet najprostsze polecenia wykrzykiwane przez dowódcę pięści<sup>6</sup>. Dawno zapomniane, zawstydające wspomnie-

---

<sup>5</sup> Żywy ogień – świeżo rozpalony ogień, żywy ogień, rozpalany powinien być przez bliźnięta lub osoby urodzone w tym samym dniu.

<sup>6</sup> Pięść – oddział Drużyny Witii (zaciężnej armii Daboru), liczący dziesięciu wojów.

nia z pierwszego miesiąca w Drużynie Witii napłynęły na policzki palącą falą. *Weź się w garść, chłopie* – powtarzał sobie, desperacko czepiając się resztek pewności siebie. – *To tylko gadanie starej baby*. Wziął głęboki oddech i otrząsnął się nieznacznie. Bardzo starał się powstrzymać rumieńce zawstydzienia, pilnując równocześnie, aby lampka nie wyslizgnęła się z drętwiejącej, wilgotnej dłoni. Raja, po starannym wygaszeniu ledwo już żarzącego się paleniska, spojrzała na niego niecierpliwie. Mężczyzna zamarł. *Bogowie* – myślał przerażony – *ona czegoś ode mnie chce! Czego ona ode mnie chce?*

– No, pomożesz mi, czy będziesz tak stał z rozdzwiona gębą? – zapytała zielarka, podając mu wygrzebany z torby krzemień wraz z owalnym krzesiwem. – Przecież jak sama będę krzesać, to nie zadziała!

Miro rzucił się do pomocy, choć za nic nie mógł zrozumieć, co Raja chce krzesać bez bliźniaków. Wszyscy przecież wiedzieli, że żywy ogień krzesać mogą tylko bliźniaki, no, od biedy osoby urodzone jednego dnia. *Może jej już rozum odjęło na stare lata?* – zastanawiał się. – *Trzeba było jednak Iwę ściągnąć...* Ukradkiem spojrział w stronę wyjścia z ziemianki. Słońce na zimowym niebie świeciło niżej niż Miro się spodziewał. *Zanim się tej baby pozbędę, dziewczyna pewnie już wyzionie ducha* – pomyślał i postanowił jednak siedzieć cicho i nie narażać się na dalsze docinki zielarki.

– A mój Miron pewnie się zastanawia, czy ta stara baba już nie oszalała. – Raja zdawała się czytać w jego myślach. – Wszystkie ludziska wiedzą, że bliźniaków trzeba do krzesania żywego ognia, a nikt nie zastana-

wia się dlaczego. Siedzą tylko w tych swoich grodach i miastach, żywej wody<sup>7</sup> nie piją, o swoich bogach zapomnieli i się jakimiś obrzydlistwami leczą. Jak, zarazą, w Hemarze, krew se upuszczają, rozumiesz. Nie dziwota, że tak chorują w tych grodach. O swoich bogach zapomnieli, to i chorują. I ziemia choruje z nimi.

Raja nadstawiła hubkę, gotowa łapać skry. Miro z uwagą słuchał słów zielarki. Wiedział... Nie, więcej niż wiedział. Czuł w kościach, że każde słowo kobiety jest prawdziwe. W czasie długich lat wojaczki wiele razy przebywał w murach grodów i miast. Zawsze, czasem po kilku dniach, czasem po miesiącu, zaczynał się tam czuć chory. Myślał, że to przez ciasnotę i smród. Ale co prawda, to prawda – żywej wody tam nie było. A i na Darne Gody<sup>8</sup> nikt w przeręblu się nie kąpał, tylko piwem się kropili o świcie. To może być przecież, że i od braku żywej wody chorował, a nie od smrodu.

– Krzeszże, na bogów! – Niecierpliwy głos zielarki wyrwał Mira z zamyślenia. – Już tu przecież z hubką czekam!

Miro usiadł i zaczął uderzać krzesiwem w krzenień. Raja kontynuowała swój monolog:

– A to o równowagę chodzi, Mironie. Z bliźniakami to jeden daje tyle samo, co drugi, i życie w ogniu zostaje. Ale jak młody, silny chłop i starowina krzeszą, tak jak my tutaj, to ty dajesz więcej i życie odpływa.

<sup>7</sup> Żywa woda – woda zaczerpnięta z zamrzniętej rzeki lub strumienia po przełamaniu lodu.

<sup>8</sup> Wiosenne Święto obchodzone na cześć Dariego, jednego z bogów daborskiego panteonu.

A ty to jeszcze syn kowala jesteś, umiłowany przez Jara, to i więcej dajesz. A co oddajesz, to zielarka może złapać i przekazać dalej, do tej tutaj. Prawie już na polach Nawii<sup>9</sup> ta mała jest, ale jak Żywia pomoże, to ją zawrócimy.

Cieniutkie, nieśmiałe smużki dymu zaczęły unosić się nad hubką.

– No i zobacz, już mamy! – ucieszyła się zielarka. – No dmuchajże, chłopcze, dmuchaj – ponagłała.

Mężczyzna posłusznie pochylił się ku staruszce i delikatnie dmuchnął na dymiącą hubkę. Raja podrzuciła garść wiórów na rozpałkę i zaczęła mamrotać coś pod nosem. Miro jak zahipnotyzowany słuchał monotonnego mruczenia zielarki. Podświadomie zaczął oddychać w rytm tej cichej pieśni. Wydawało mu się, że wraz z powietrzem wypływa z niego życie. Wdech, wydech, wdech, wydech, wdech, wydech. Każdy wdech był coraz krótszy, każdy wydech dłuższy. Czuł się coraz bardziej osłabiony. *Tchu mi brakuje* – pomyślał w panice. Instynktownie chciał wyprostować plecy i cofnąć głowę, lecz ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Z przerażeniem spojrzał na Raję, szukając pomocy. Szare oczy zielarki błyszczały w półmroku, zimne jak lód. Jej dłoń poruszała się płynnie w powietrzu, jakby wyciągała życie z ust Mira.

– Nie, chłopcze, jeszcze nie, jeszcze trochę więcej trzeba.

Miro nie mógł się ruszyć, uwięziony żelaznym spojrzeniem staruchy. Zbyt osłabiony, by walczyć, w końcu poddał się, pozwalając oddechowi karmić

<sup>9</sup>Nawia – według wierzeń Daboru pola otaczające Kuźnię w Zaświatach.

ogień. Rytm pieśni zmienił się nieznacznie, pozwalając na dłuższe, głębsze wdechy. Mężczyzna uspokoił się nieco. *Weź, dziewczyno, weź ile potrzebujesz* – pomyślał patrząc na bezwładne ciało otulone w skóry. – *Cokolwiek moje życie jest warte, weź. Przynajmniej na tyle się przyda...*

Nagle pieśń ustała. Miro, odzyskawszy kontrolę nad swym ciałem, łapał oddech jak po długim nurkowaniu.

– Dobrze się spisałeś – mruknęła ku niemu Raja z wprawą karmiąc potężniejący z każdą chwilą ogień. – Posiedź sobie, odpocznij, nic ci nie będzie.

Ciepłe, jasne jak blask słońca płomienie rozjaśniały ciasną przestrzeń ziemianki. Żłoty, niemal oślepiający blask ognia zdawał się otulać poranione ciało nieprzytomnej dziewczyny i wsiąkać w jej zszarzałą skórę. Jej oddech wydawał się głębszy, skóra mniej blada, a usta bardziej różowe. Miro z podziwem patrzył na efekty sztuki zielarki.

– Co tak siedzisz? – Raja znów przerwała tok jego myśli. – Wody mi przynieś. Żywej. I jeszcze czyste płótno – dodała po chwili zastanowienia. – Tych bandaży, co przyniosłam, to mi nie starczy.

Miro spojrział ze zdziwieniem na starą zielarkę.

– To... – zaczął niepewnie, wciąż łapiąc oddech – da się ją wyleczyć?

Raja uśmiechnęła się kątem ust. Spojrzała przelotnie na mężczyznę oczami pełnymi niezwykłego blasku.

– Da się – odparła. – Biegnij.

Pomimo ogarniającego go znużenia Miro ze świeżym zapalem rzucił się do wyjścia.



– Mam trzy pełne dzbany w chałupie! Już biegnę!  
Na jednej nodze!

Słońce przesunęło się na niebie o nie więcej niż pół palca, kiedy Miro powrócił do ziemianki, objuczony koszami i dzbanami. Raja w skupieniu, za pomocą wąskich szczypiec i malutkiego kościanego nożyka, odcinała martwe brzegi z ostatniej z ran.

– Wrzącej wody potrzebuję – mruknęła przez ramię. – I wrzuc tam do garnka kilka szmatek, niech się pogotują trochę.

Miro z zapalem zabrał się do pracy. Kątem oka obserwował zielarkę, która właśnie wylewała na rany brązowy, niezwykle klarowny płyn. W ziemiance zapachniało ziołami i samogonem. Miro uśmiechnął się pod nosem, próbując zgadnąć, skąd stara Raja wzięła nalewkę, której nawet cesarski stół by się pewnie nie powstydział. Powoli mieszając prawie już wrzącą wodę, zastanawiał się, jak delikatnie wypytać zielarkę o źródło tak doskonałego trunku.

– Dmuchnij mi tu szybko, Mironie.

Mężczyzna aż podskoczył na dźwięk ochrypniętego głosu zielarki.

– O tu, do tego kaptorga. Tylko przez ogień, nie tak wprost. Raz wystarczy – dodała.

Miro posłusznie pochylił się i dmuchnął przez ogień, jak mu kazano. Drobne żółte i niebieskawe iskry poleciały w kierunku otwartego, kunsztownie wykonanego kościanego pudełka. Mężczyźnie wydawało się, że wraz z dotknięciem iskier coś białego zaczęło się poruszać w środku pojemniczka. Raja mruknęła zadowolona

i sięgnęła po małe szczypce. Miro obserwował zielarkę z zaciekawieniem. Starucha delikatnie wyciągała z pudełka wijące się, tłuste robaki i kładła je na ranę na boku dziewczyny. Miro nie mógł uwierzyć własnym oczom. *Czerwie?! W zimie?!* Był już jednak zbyt zmęczony, żeby zadawać jakiegokolwiek pytania. Ostrożnie, aby nie wychłapać wrzątku, zaczął zdejmował ciężki gliniany gar z paleniska.

– No to niech robaczki pracują! – oznajmiła Raja, usadawiając się wygodnie na klepisku.

Przysypiający w kącie ziemianki Skra ziewnął i leniwie przewrócił się na drugi bok. Wyciągnął szyję w stronę zielarki. Szturchnął jej dłoń nosem, domagając się pieśczoć. Raja uśmiechnęła się do wilka i zanurzyła palce w puszystej sierści zwierzęcia. Pochyliła się nieco, by sięgnąć po butelkę z ziołową nalewką.

– Chcesz trochę? – zapytała, ocierając usta rękawem

– Ano, jak matka prosi, to nie powiem nie – ucieszył się Miro.

– Tylko wszystkiego od razu nie wyżłop! – powiedziała zielarka, podając mężczyźnie butelkę.

– No przecie nie wyżłopię! – oburzył się. – Ale tak na głodnego to się nie poważa!

Odstawił butelkę na klepisko i zaczął gmerać w przyniesionym wcześniej z domu koszyku.

– Ano, nie poważa się – odpowiedziała Raja. – Widzę, że cię jednak matka czegoś nauczyła.

– Matka nauczyła i służba nauczyła. – Miro pokłamał głową, po czym zabrał się za smarowanie podpłomyków smalcem.

– Daj no tu tę gomółkę – Zielarka sięgnęła po leżące na klepisku zawiniątko – Przednowek już, to pewnie zetrzeć trzeba?

Posilali się w milczeniu, wpatrzeni w jasne płomie- nie paleniska. Zawsze głodny, Skra podniósł głowę i zaczął się ślinić. Zielarka rzuciła mu grudkę smalcu.

Miro pokręcił głową, widząc bezczelność wilka. *Ile ten zwierzak może zjeść?!* – zastanawiał się, zadziwiony łapczywością, z jaką Skra pochłoniął przysmak. – *Dzisiaj rano prawie całe bebechy zeżarł i jeszcze mu mało?*

– A tej tu to nie trzeba nakarmić? – pokazał pod- płomykiem w kierunku nieprzytomnej dziewczyny.

– Pewnie, że trzeba, ale jak to karmić jak taka nie- przytomna? – odparła Raja. – Łykać nie będzie, jeszcze się udławi. Na razie ogień ją karmi. Ale później będziesz musiał jakąś tłustą polewkę ugotować.

*No i proszę, sarna, jak znalazł, się przyda* – pomyślał Miro.

– Na wieczór już pewnie idzie – po dłuższej chwili powiedziała Raja. – I robaczki już pewnie skończyły – dodała, zerkając na mrowiącą się od tłustych larw ranę.

Zielarka otrzepała suknie z okruszków i podnio- sła się ze stęknieniem. Sięgnęła po szczypce, którymi zaczęła wybierać larwy. W tym czasie Miro uprzątał resztki posiłku.

– Pozbieraj te kosze, chłopcze, bo już się ciasno tu zrobiło – powiedziała mu Raja – A potem skocz do chaty. Trzeba jej jakieś poślanie przygotować, najlepiej przy ogniu. Długo mi już tu nie zejdzie. Tylko wracaj zaraz, bo sama przecież kości nie poskładam.

Miro w milczeniu skinął głową i zabrał się do roboty. Przed wyjściem rzucił jeszcze okiem na nieprzytomną dziewczynę. Pokiwał głową z podziwem dla umiejętności zielarki – chora wyglądała dużo lepiej, a jej rany były czyste, bez śladu ropy czy zgnilizny.

– Wy to, matko, do drużyny Witii powinniście się zaciągnąć. Przydalibyście się tam bardziej niż w Szubinkach – oznajmił z nieukrywanym podziwem.

– A tam, gadanie – odparła Raja. – Z moją pięknoscią to bym się tylko całymi dniami od tych wojaków opędzała, tyle by z tego było!

Miro roześmiał się szczerze. Raja słyszała jego głośny śmiech jeszcze z podwórka.

– Co ty tam wiesz, synku... – powiedziała do siebie z tajemniczym uśmiechem.



Słońce już zachodziło, kiedy Miro wracał z domu Rai. Tym razem, wiedząc, że dziewczyna jest bezpieczna za solidnymi drzwiami chaty, odważył się zaprząć Skrę do sani. Z ogromnym wilkiem ciągnącym zaprzęg podróż do domu zielarki była czystą przyjemnością. Świeże, zimne powietrze, skrzypiący pod nartami śnieg, równe tempo biegu, kłusujący obok Skra – w takich chwilach Miro był prawdziwie szczęśliwy. Szybkość, siła i wytrzymałość wilka zachwyciły nawet starą zielarkę. Była ona zarumieniona, niemal promienna, i śmiała się szczerze, kiedy żegnał się z nią na progu.

W drodze powrotnej, bez obciążonych sani, Skra biegł jeszcze szybciej. Chcąc przedłużyć rzadką chwilę szczęścia, Miro przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawrócić w stronę lasu. Jednak wspomnienie nieprzytomnej dziewczyny szybko przepędziło te myśli. Mężczyzna od jakiegoś czasu zastanawiał się, od czego lub kogo dziewczyna uciekała w takiej desperacji i czy to coś lub ktoś za nią podążało. Zdecydował już, że pomoże małej, nawet jeśli musiałby położyć swoje własne życie na szali. Nie chciał jednak narażać wioski na żadne niebezpieczeństwo. Możliwości obronne Szubinek, nie nękanych żadnymi niepokojami od dobrych trzech pokoleń, były, delikatnie mówiąc, niewielkie.

Raja oceniała, że dziewczyna została pogryziona nie później niż dwa, najdalej trzy dni temu, najprawdopodobniej przez wilka. Jeszcze w lesie Miro zauważył splecione wokół stóp rannej fragmenty ledwo oskrobanej wilczej skóry. Wyglądało na to, że ten podłotek, jak wiele dziewcząt w tradycyjnych daborskich rodzinach, był szkolony w użyciu noża. *Biedny zwierzak, ugryzł więcej, niż mógł przetrknąć* – pomyślał Miro, dumny z dziewczyny. – *Nie ma morwy, żeby ta mała uciekała tak na ślepo przez las od wilka. Pewnikiem wilk zaatakował ją, kiedy uciekała od czegoś innego.*

Miro słyszał od gospodarzy z Szubinek, że na jesien-  
nym wiecu w Zatoniu mówiło się o lobardzkich<sup>10</sup> napa-  
dach na zachodzie. Większość mieszkańców Szubinek  
traktowała to raczej jako powód do polania piwa niż po-

---

<sup>10</sup> Lobardia – prowincja Cesarstwa Hemaru, granicząca z Daborem na zachodzie.

wód do obaw. Niezachwiana, niemal ślepa wiara w siłę daborskiego wojska sprawiała, że nikt w tej okolicy nie lękał się wojny. Powszechnie obawiano się jedynie podwyższenia danin i dalszych zaciągów pospolitego ruszenia. Miro, jeszcze do niedawna woj zaciężnej armii, wiedział i widział wystarczająco dużo, żeby mieć powody do obaw o przyszłość tak Szubinek, jak i całego Daboru.

Dabor od niepamiętnych czasów rządzony był przez Witie z rodu Drewian. Kobiety te, jak mówiono, otrzymały władzę z rąk samej Czwórki<sup>11</sup>. Zwierzchnictwo Witii nigdy nie było kwestionowane. Powszechnie uważano, że powodzenie i siła Daboru zależy nie tylko od mądrości władczyń, ale również od błogosławieństwa, które otrzymały one od bogów.

Sześć lat temu umarła Wena, ostatnia Witia z dynastii Drewian. Wita zmarła jako bezdzietna wdowa. Wprawdzie słyszano tu i ówdzie plotki o ukrywających się gdzieś w Daborze córce i wnuczce Weny, jednakże opowieści takie powszechnie uważane były za bajanie chorych umysłów. Bez niepodważalnego autorytetu Witii zjednoczeni do tej pory wojwodowie bardzo szybko zaczęli spiskować przeciwko sobie. Co niektórzy planowali nawet przejęcie władzy w Daborze. Wychowanemu w tradycyjnej rodzinie Mirowi wydawało się nie do pomyślenia, żeby na tronie zasiadał Wit zamiast Witii. Jednak biorąc pod uwagę coraz silniejsze wpływy kulturowe z Cesarstwa Hemaru, gdzie od wieków rządzili mężczyźni, mógł sobie wyobrazić, że opór wobec męskiego władcy z czasem będzie coraz słabszy.

<sup>11</sup> Czwórka – Jar, Żywia, Starka i Dari – czworo daborskich bogów.

Dabor, osłabiony wewnętrznymi konfliktami, stał się łakomym kąskiem dla sąsiadów. Za ledwie rok po śmierci Weny na zachodnie ziemie Daboru wkroczyły armie Lobardii, prowincji Cesarstwa Hemaru. Woje Drużyny Witii, zmuszeni odpierać ataki najeźdźców, nie byli wystarczająco liczni, aby zapewnić bezpieczeństwo wszystkich dróg i traktów. Daborscy możnowładcy, skupieni na politycznych walkach, nie wysyłali już regularnych patroli na swoje ziemie. W rezultacie w daborskich lasach aż roiło się od rzezimieszków różnej maści. Wraz z przypływem maruderów z lobardzkiej armii z roku na rok rozbójnicze bandy stawały się coraz liczniejsze i coraz bardziej śmiałe. Coraz częściej podróżujący leśnymi traktami kupcy, muzykanci czy zwykli wieśniacy byli nie tylko ograbiani z mienia, ale również mordowani. Ostatnimi czasy przed bramami większych grodów i miast regularnie zaczęły się pojawiać wozy śmierci. Wozy te, ciągnięte przez zagłodzone kobyły, bez woźnicy, przybywały zwykle o świcie, załadowane zwłokami kobiet, mężczyzn i dzieci, bezlitośnie zabitych przez rozbójników. Wozy śmierci w brutalny sposób pokazywały mieszkańcom Daboru, że choć bezpieczni w murach miasta, wojny jeszcze nie wygrali.

*Wozy śmierci...* Miro zgubił krok. Wspomnienia popłynęły niezatrzymaną falą. Wydziobane przez ptaki oczy. Bezwładnie rozrzucone ramiona. Gnijące, rozkładające się wnętrzności. Ojcowska twarz, zastygła w grymasie przerażenia i bólu.

*Wozy śmierci...* Miro opadł na kolana, na śnieg. Na jednym z takich wozów niemal rok temu znalazł ciało swo-

jego ojca Gorana. Pomimo upływu czasu pamiętał każdy szczegół. Koszmarny obraz okaleczonych zwłok powracał do niego w snach. Czasem, tak jak teraz, powracał również na jawie, kiedy nieopatrzna myśl obudziła starannie pogrzebane wspomnienia.

Po znalezieniu ciała ojca Miro porzucił służbę w drużynie. Obawiając się o los swoich bliskich, wyruszył pospiesznie w rodzinne strony. W Szubinkach zastał tylko nieświadomą śmierci męża matkę. To od niej dowiedział się, że jego ojciec, brat i siostra przed zaledwie tygodniem wyruszyli do Sławy z ładunkiem broni.

Ojciec Mira był utalentowanym kowalem, a jego wyroby wysoko ceniono w Daborze. Wielu możnowładców, nawet z odległych stron, zamawiało u niego miecze czy zbroje. Czasem, korzystając z ochrony zapewnionej przez klienta, Goran podróżował wraz z towarami, aby na miejscu dopasować zamówioną na miarę zbroję czy tarczę. Wiosną minionego roku wyruszył w taką właśnie podróż do Sławy, stolicy Daboru. Zabral ze sobą swoją córkę Malinę i syna Wilena. Malina chciała bardzo zobaczyć Sławę, a Wilen, przyuczony przez ojca do kowalstwa, miał poznawać sekrety fachu. Żadne z nich nie wróciło z tej podróży. Miro spędził miesiące, bezskutecznie próbując odnaleźć zagubione rodzeństwo. Szukając odpowiedzi na pytanie o los bliskich, bezlitośnie torturował każdego napotkanego rozbójnika, Lobardczyka, czy nie. Niektórzy lobardzcy żołnierze po latach życia w lasach osiedlali się w głuszy z kobietami, zwierzętami hodowlanymi i nawet małymi dziećmi. Miro znalazł



jedną z takich osad. Z pomocą Skry, który w obronie swego pana potrafił się zmienić w krwiożerczą bestię, opętany żalem wojownik zrównał to miejsce z ziemią. Schowany w koronach drzew, strzelał do ludzi jak do kaczek. Zabił ich wszystkich. Bez wyjątku. Bez wahania. Bez żalu.

Kiedy po miesiącach bezowocnych, krwawych poszukiwań w końcu wrócił do domu, jego matka była już tylko prochem rozsypanym po polach. Umarła samotna, w pustym domu, czekając na powrót któregośkolwiek ze swoich dzieci. *Miałem ich bronić. Czyż nie taki jest obowiązek wojów Drużyny?* – Miro schował twarz w dłoniach. Przepęłniał go żal, ból, tęsknota za bliskimi, a nade wszystko gorzkie poczucie winy. Jego ojciec, siostra, brat, matka... To przez niego zginęli. Opuścił swoich najbliższych, zawiódł ich. *I po co? Aby poświęcić się bezsensownej walce w imię nieżyjącej Witii i kraju, który umierał. Bogowie... Miejcie litość...*

Zaniepokojony Skra przysiadł na śniegu obok swojego pana. Zaskomlał cicho. Wcisnął zimny, pokryty płatkami śniegu nos w ucho mężczyzny i przejechał różowym jęzorem po jego twarzy. Miro uśmiechnął się bezwiednie. Przytulił policzek do pokrytego śniegiem i lodem futra.

– Skra, ty bydlaku... – wyszeptał w kosmate ucho.  
– Co ja bym bez ciebie zrobił?...

Poklepał ogromnego wilka po szyi i wyprostował się, rękawem ocierając twarz. Nawet nie zauważył, że dotarł już na własne podwórko. Wokół panowała cisza, prze-

rywana tylko oddechem mężczyzny i wilka. Na kryształowo czystym zimowym niebie zaczęły pokazywać się pierwsze gwiazdy. Miro spojrzał na wschód. Otulone śniegiem chatki Szubinek lśniły w jasnym świetle księżyca. *Jeśli te wszarwe skurwysyny tu przyjdą – pomyślał z obawą – kamień na kamieniu tu nie zostanie.* Spojrzał na niebo, ponad dachami wioski. Pas zimowej konstelacji Strzelca był ledwo widoczny tuż nad horyzontem. *Długo ta zima już nie potrwa. Co będzie nas bronić, jak drogi odmarzną?*

Pogrążony w ponurych rozmyślaniach mężczyzna oczyścił narty i wszedł do domu. Od progu przywitał go ciepły zapach siana, zwierząt, żarzącego się paleniska oraz, jak zwykle, entuzjastyczne podszczypywanie kozy Gruszki.

Gruszka była niemiłosiernie rozpieszczona, wścibska i praktycznie wszystkożerna. Regularnie doprowadzała Mira do szewskiej pasji. To małe radosne bydlę potrafiło otworzyć niemal wszystko. Czasami Miro miał wrażenie, że połowę dnia spędza na zabezpieczaniu różnych rzeczy przed niszczycielskimi zapędami kozy. Zapasy musiały być albo uwieszone na belkach więźby, albo schowane w szczelnie zamkniętych ziemiankach na podwórzu. Wieka kufrów i skrzyń trzeba było przywalić kamieniami. Ostatnimi czasy myśliwy zaczął podwieszać nawet łuk i narty, gdyż Gruszka albo z nudów, albo ze zwykłej złośliwości zeżarła mu już dwie cięciwy. Pomimo sentymentu – koza była kiedyś ulubienicą Maliny, siostry Mira – mężczyzna wielokrotnie już postanawiał, że jak tylko

przyjdzie wiosna, będzie musiał poszukać Gruszce innego domu. Oddawanie kozy na przednówku byłoby jednak szaleństwem. Miała ona bowiem jedną zaletę – była niewyobrażalnie mleczna.

Opędzając się od Gruszki, Miro podszedł do paleniska. Dziewczyna była wciąż nieprzytomna, ale wyglądała dużo lepiej. Jej oddech był spokojny i regularny, skóra prawie różowa. Nawet odmrożenia na palcach, posmarowane maścią Rai, nie wyglądały tak źle. Oczy wyraźnie poruszały się pod powiekami. Miro ucieszył się na ten widok i zabrał się za gotowanie polewki. Raja każała zacząć karmić dziewczynę, kiedy tylko oczy zaczną się ruszać. Zostawiła mu również instrukcje, jak używać maści oraz kiedy zacząć podawać syrop na dreszcze. Miro był bardzo zadowolony, że zielarka zostawiła mu tylko maść i syrop – przynajmniej nie było szansy, żeby coś mu się pomyliło. Nie rozumiał znaczków na słoiczkach. Spędził całe życie na wojaczce i nigdy nie miał okazji nauczyć się czytać.

W słabym świetle paleniska niemal po omacku zaczął wrzucać do garnka kawałki sarniej wątroby, suszonych owoców i ziół. Wszędobyłska Gruszka wspięła się na niego przednimi nogami i niemal przewróciła go w palenisko. Miro, klnąc na czym świat stoi, rzucił się w poszukiwaniu sznurka, żeby uwiązać ciekawską kozę. Nie spodziewał się, aby sznurek na długo starczył – zwykle Gruszka w wielką wprawą przegryzała swoje pęta i uwalniała się wystarczająco szybko, by zdążyć na gotową strawę. Miro przegonił dwie kury, przycupnięte na przywalonym kamieniem wieku skrzyni.

Znalazł jedynie krótki na dwa łokcie kawałek powrozu i zaklął pod nosem raz jeszcze. *Przez to głupie bydlę nawet sznurek się kończy* – zawył w myślach. – *Łańcuchy trzeba jakieś czy co?!* Przyjrzał się znalezisku, oceniając długość sznurka. *Hmmm* – pomyślał ze złośliwą satysfakcją. – *Powiesić bydlę by się chyba dało.* Ze świeżym zapałem i mordem w oczach zaczął wprawnie wiązać pętlę na końcu sznura, nawołując kozę słodkim głosem.

Gruszka zabeczała radośnie i ustawiła się jak do dojenia.

– No żesz parchy! – Miro klepnął się w czoło. – Zupełnie zapomniałem jej rano wydoić!

Z żalem odłożył sznur i sięgnął po garnek. *W sam raz będzie* – pocieszał się. – *Napoi się dziewuchę przed kolacją.* Obiecując sobie, że na wiosnę udusi kozę gołymi rękami, zabrał się za dojenie.



Miro oczyścił buty po wygarnięciu ostatnich placzków nawozu. Już zamykał drzwi, kiedy poczuł ostre pazury drapiące jego łydkę i udo.

– Łaska, ty zarazo! – Aż łyzy stanęły mu w oczach, kiedy zwinna łasica wspięła się po jego nodze i brzuchu.

Łaska z zadowoleniem usadowił się na ramieniu Mira. W małym pyszczku dumnie trzymał wychudzonego szczura. Wetknął go w twarz mężczyzny, chcąc dobrodusznie podzielić się kolacją. Miro z obrzydzeniem zdjął łasicę z ramienia.

– Skrze daj, na pewno się chłop ucieszy – powiedział, delikatnie stawiając zwierzątko na ziemi.

Łaska w podskokach wbiegł do izby. Porzucił szczura na środku klepiska. Pofukując z zadowoleniem, wcisnął się pod skóry u boku śpiącej spokojnie dziewczyny.

– No i wszyscy w domu! – powiedział Miro, zasuważąc skoble na drzwiach.

Rozejrzył się po izbie, aby upewnić się, że wszystkie jadalne i niejadalne sprzęty są bezpieczne od Gruszkowych szczęk. Z kąta izby słuchać było rytmiczne przeżuwanie Łaty, jałówki, którą kupił jeszcze na jesieni. Na razie Łata nie robiła nic poza przejadaniem zapasów, ale mężczyzna miał nadzieję na krowie mleko przyszłej zimy. Planował przecież pozbyć się uciążliwej kozy.

Starym daborskim zwyczajem Miro rozsypał okruszki w kącie chaty, by ułaskawić pokucie, dobrotliwe domowe duchy. Ostrożnie wyciągnął stygnące kamienie z paleniska, po czym wcisnął jeden w poślanie dziewczyny i jeden pod własne derki. *Jeszcze mi tu żony brakuje* – pomyślał, przesuwając Skrę i Gruszkę, śpiących smacznie na jego własnym poślaniu. – *Też coś...*



## KOZDZIAŁ 2

*Witia widzi, Witia wie, Witia nie stoi sama.*

### Pozdrowienie Witii

Aksamitna ciemność otulała ją jak miękka pościel. Nie było myśli, nie było uczuć. Nie było nic, tylko trwanie w niebycie. Nie chciała już nic więcej. Nie potrzebowała niczego. Mijały wieki lub może tylko chwile, a ona pozostawała niezmienna w tym cudownym miejscu zapomnienia. Nagle ból. Ciemność rozzerwana nim jak ostrzem. Fala za falą, coraz jaśniejsza. Rany zadane ciemności, dartej przez... Szpony? Łapy? Wychudzone ludzkie dłonie? Ból. Więcej bólu. Nie można już nie istnieć. To boli. Tak bardzo boli. – *Nieeeeeeee!!! Proszę, nie! Nie mogę już tego znieść* – myślała w panice. – *Proszę, niech to się skończy. Niech przestanie. Proszę. Proszę...* – *Nieeeeeeee!!!*

– Saja! Saja! – To cud, że w tym pandemonium dziewczyna usłyszała wołanie.

– Saja! Proszę, Saja! – Znajomy głos był nieco wyraźniejszy.

– Mamo?! Mamo! Gdzie jesteś?

– Tu jestem, kochanie, tuż obok. – Dziewczyna poczuła ramiona, obejmujące ją czule. Wtuliła się w te znajome, ukochane objęcia.

– Mamo...

– Już dobrze, kochanie. Jeszcze tylko troszeczkę. Zamknij oczy, skarbie. Wytrzymaj.

Chwilę później zaczął się prawdziwy ból.



Cierpienie odeszło tak nagle, jak przyszło. Saja szlochala i kuliła się w sobie, oczekując następnej fali. Była jak odrętwiała. Wspomnienie bólu nie do opisanie, jeszcze świeże, prawie namacalne, w ciele, którego nie czuła. Nie czuła też dotyku matki. Nie odważyła się otworzyć oczu. Nie chciała znów być sama.

– Mamo?

– Jestem tu, kochanie.

Chwilę potem poczuła otulające ją ramiona.

– Czy to już koniec?

– Już koniec. Tylko nie otwieraj oczu. Jeszcze nie jesteś gotowa.

– Dobrze, mamo. – Saja wtuliła się mocniej w ramiona matki. Nie chciała otwierać oczu. Nie chciała nigdzie iść. Chciała tu zostać, bezpieczna, bez głodu, zimna i bólu. – Mamo?



- Tak, kochanie?
- Ja... Ja widziałam ciebie martwą... Czy to prawda, mamo? Czy ty umarłaś?
- To prawda, kochanie – odpowiedział miękko znajomy głos. – Umarłam. Teraz trwam w tobie. Tak jak twoja babka, prababka, praprababka i wszystkie nasze przodkinie.
- Chwila otępiałego milczenia.
- We mnie? Jak to możliwe?
- To jest długa historia, skarbie. To taki dar naszej krwi. Z czasem sama to zrozumiesz.
- Gdzie jesteśmy? Co się stało?
- Obudziłaś się. Za wcześnie, ale nie było wyjścia. Musiałyśmy cię obudzić.
- Nie rozumiem, mamo. – Saja nagle bardzo zapragnęła spojrzeć w oczy matki, zobaczyć jej uśmiech, poczuć się... normalnie.
- Czy mogę już otworzyć oczy?
- Jeszcze nie, kochanie. Najpierw musisz zrozumieć. Proszę cię, przytul się do mnie. Jeszcze mocniej. Otwórz się, Saja.
- Mamo, nie rozumiem...
- Wiem, skarbie. Spokojnie, nie ma się czego bać. Przytul się do mnie. Poczuj mnie. Otwórz się. Teraz.
- Saja wtuliła się piersi matki i spróbowała uspokoić myśli. Na policzku poczuła ciepłą, miękką skórę i delikatny materiał sukni. Czowała się bezpieczna. Czowała się kochana. Pozwoliła, by to doznanie ją przeniknęło. Wraz z bliskością matki napłynęły obrazy. Wysoka, piękna kobieta. Długie brązowe włosy z pasemkami

złota. Oczy, przedziwne, lśniące jak gwiazdy, mieniające się wszystkimi kolorami tęczy. Ten sam, tak dobrze znany, ciepły, kochający uśmiech matki. Twarz trochę inna, skóra odrobinę ciemniejsza. Kobieta zbliża się, przytula ją i całuje. *Mama!* – pojawia się myśl. *Moja myśl? Jej myśl? Czyja to myśl?* Potem obrazy przesuwają się szybciej. Wielka uczta. Mnóstwo ludzi. Bogato urządzona sypialnia. Zabawki. Księgi. Tron, a na nim ta sama kobieta, trochę tylko starsza. Jej spojrzenie odległe, zamysłone. Ludzie. Strażnicy. Szepty. „Tato? Tato? Co się dzieje?” – Dziecięcy głos rozbrzmiewa w pustej komnacie. Kroki w korytarzu. Ucieczka. Las. Noc. Zimno. W końcu dom. Mój dom. Pola. Tak dobrze znany las. Mężczyzna bardzo podobny do taty, chociaż dużo młodszy. Radość. Szczęście. Dziecko. *Ja?!* Obrazy przyspieszają jeszcze bardziej. Wiosny, lata, jesienie, zimy. Gwałtowne przebudzenie w środku nocy. Krzyki: „Pożar!”, strach, bieg korytarzem, jęki umierających. Szarpnięcie za włosy, czyjeś dłonie na ciele. *Moim? Jej?* Przerazone myśli: *Saja! Gdzie jest Saja?!* Potem ból gdzieś w środku, zimne ostrze na szyi, ciepła krew... Ciemność...

Saja łapała powietrze łapczywie, jak po długim nurkowaniu. Dłonie oparła na ziemi, pochyliła głowę, dyszała ciężko. Jeszcze czuła zimne ostrze przecinające skórę na szyi i ciepłą krew chlustającą z rany. Jeszcze czuła zimno szybko ogarniające jej ciało i narastającą słabość, aż do omdlenia. Kręciło jej się w głowie. Chciało jej się wymiotować. Jednak w jakiś sposób to doświadczenie sprawiło, że czuła się również silniejsza, bardziej praw-

dziwa, bardziej żywa. Jej ciało stało się bardziej namacalne. Uświadomiła sobie, że oddycha. Otworzyła oczy.

– Mamo?

– Tu jestem, kochanie – dobiegł miękki głos gdzieś z tyłu.

Saja odwróciła się. Przed sobą zobaczyła zwiewną, jakby utkaną ze światła postać matki. Wyciągnęła dłoń.

– Nie, Saja. Proszę, nie próbuj mnie dotknąć – powiedziała matka, przysiadając naprzeciwko z czułym, zatroskanym uśmiechem. – Masz już moje wspomnienia. Jeśli weźmiesz więcej, obie rozplyniemy się w mgłę.

Saja wycofała dłoń i objęła kolana ramionami. W głowie jej wirowało, miała wrażenie, że dwie historie życia walczyły ze sobą w jej pamięci. Przez chwilę sama już nie wiedziała, kim jest. Młodą dziewczyną zagubioną bogowie wiedzą gdzie? Dojrzałą kobietą, matką i żoną, brutalnie zamordowaną pośród płomieni? Poczowała, że jej ciało staje się lżejsze, jakby wplatała się w nie mgła.

– Saja, pamiętaj, kim jesteś. – Głos matki wypełniony był trwogą. – Trzymaj się swoich wspomnień. Nie odpływaj, Saja! Pamiętaj! Nie poddawaj się!

Saja trzymała się tego głosu kurczowo. *Jestem Saja, jestem ja, jestem Saja* – powtarzała w myślach jak modlitwę. Wrażenie wirowania i znikania powoli ustępowało. *Jestem Saja*. Poczowała własne wspomnienia wypełniające ją na nowo. Jednak życie jej matki nie zniknęło, było tam, gdzieś w zakamarkach pamięci, jak wspomnienie złego snu. Odetchnęła głębiej i spojrzała niepewnie na siedzącą obok kobietę. Matka uśmiechnęła się ciepło i lekko kiwnęła głową.

Witia: Drzewo wspomnień  
Copyright © Magdalena Lewandowska, Małgorzata Lewandowska  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Małgorzata Lewandowska  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-199-4  
epub ISBN 978-83-7995-200-7  
mobi ISBN 978-83-7995-201-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski  
Redakcja: Aleksandra Ślósarek  
Korekta: Marta Kładź-Kocot  
Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski  
Ilustracja na okładce: Małgorzata Lewandowska  
Ilustracje w tekście: Małgorzata Lewandowska  
Skład wersji elektronicznej: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-453 Bydgoszcz  
[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)  
[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)